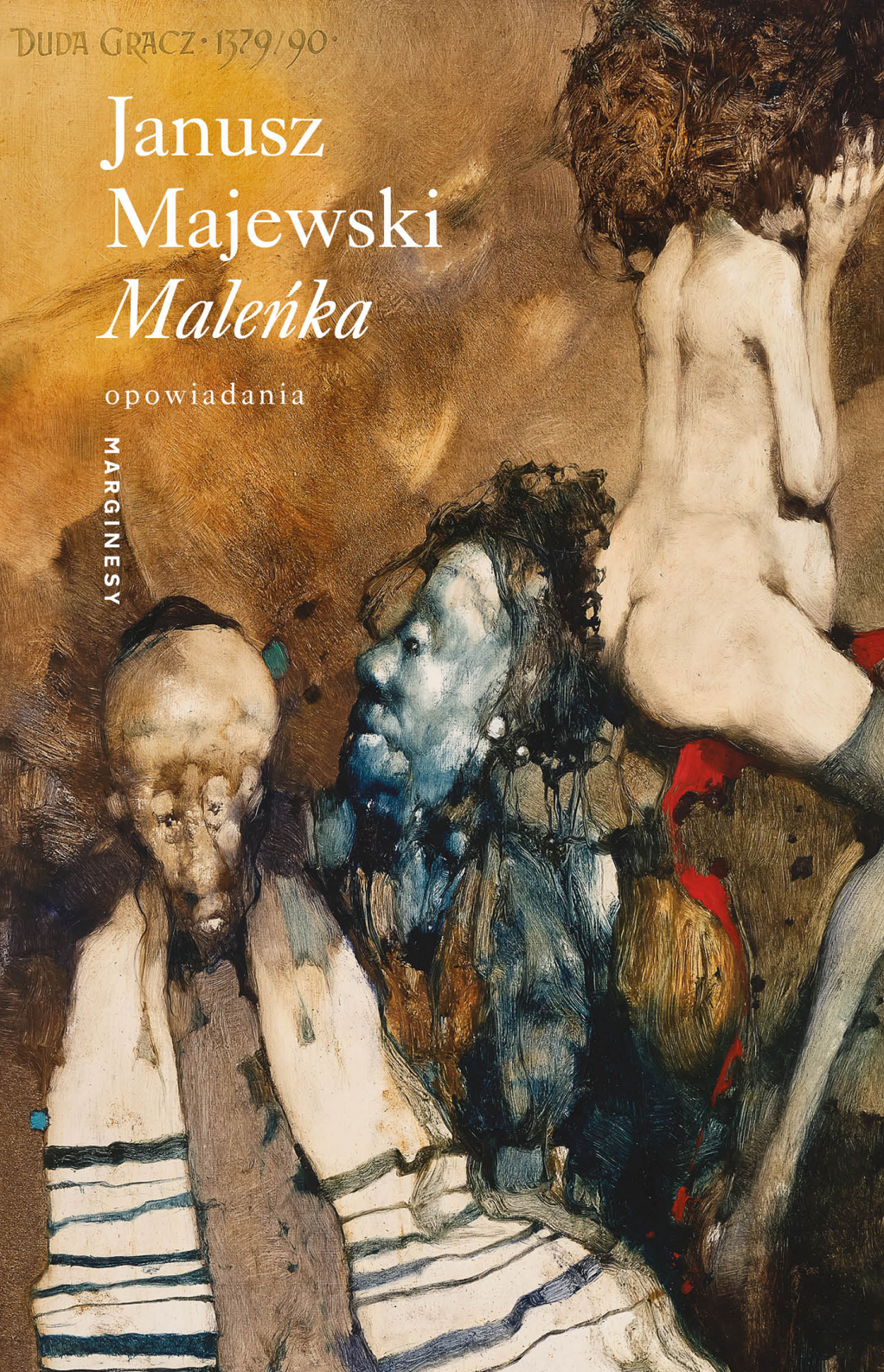


DUDA GRACZ · 1379/90 ·

Janusz  
Majewski  
*Maleńka*

opowiadania

MARGINESY



Janusz  
Majewski  
*Małeńka*

opowiadania

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Janusz Majewski

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021



W hołdzie  
Brunonowi  
Schulzowi

# Ławeczka w Truskawcu

*Pamięci Kurta W.*

Koperta była różowa, jakby dobrana kolorystycznie do fioletoowego znaczka z góralem na tle gór za dwadzieścia pięć groszy, a list był ze Lwowa i wystarczyłby taki za piętnaście, ale może to przypadek? Góral w pełnym stroju na nartach – gdyby skakał w tym na Krokwi, to kapelusz by mu spadł zaraz po starcie. A gdyby chasyd skakał, to też by mu spadł i jeszcze pejsy by mu pęd zwiął do tyłu! I co by było w tle na znaczku? Sztetl? Międzynarodowe Zawody Narciarstwa Klasycznego Chasydów FIS w Biłgoraju! Odpędził te głupie myśli jak muchę i rozciął kopertę nożykiem z rękojęcią w kształcie krokodyla.

List pachniał fiołkami i był wykaligrafowany. Już na pierwszy rzut oka docenił piękną kompozycję akapitów, zaczął czytać:

Wielce Szanowny Panie!

Nazywam się Marianna Jamrógiewicz. Tydzień temu zdałam maturę i wybieram się na Wydział Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Na maturze

pisałam wypracowanie na temat Pana twórczości, którą jestem zafascynowana, odkąd ją poznałam, a w zeszłym roku byłam też na Pana odczycie we Lwowie. Jeśli zostaną przyjęta na polonistykę, zamierzam poświęcić się studiowaniu i analizowaniu Pańskich utworów literackich w powiązaniu z Pańską twórczością plastyczną, w całości. Niektórych rysunków Pańskich jeszcze nie rozumiem, myślę, że także pewne fragmenty w Pańskiej prozie nie są wciąż całkowicie dostępne memu rozumowi, ale teraz, kiedy już dojrzałam, na pewno to się zmieni, tym niemniej potrzebuję pomocy w tej materii i dlatego zwracam się do Pana.

Pierwszy miesiąc wakacji, tj. lipiec, będę spędzać z rodzicami w Truskawcu, ośmielam się więc prosić Pana o spotkanie i rozmowę, chociażby tylko na chwilę. Mogę przyjechać do Pana do Drohobycza lub zapraszam do Truskawca – wiem, że często Pan tam bywa w lecie. Dostosuję się do każdego terminu dogodnego dla Sz. Pana. Jeżeli lipiec nie będzie możliwy, to przyjadę w każdym innym terminie, z wyjątkiem sierpnia, bo wtedy będę u Dziadków, w ich majątku pod Czortkowem na Podolu, gdzie są piękne stawy, łąki i jary, ale żadnego czortka ni czorta jeszcze nie spotkałam. (W języku Czechowa brzmi to lepiej: „nikawo, daże cziora ja jescio nie wstrieczyła...”).

Jeszcze raz przepraszam za śmiałość i oczekuję łaskawej odpowiedzi.

Z wyrazami wielkiego szacunku

Marianna Myszka Jamrógiewiczówna

Lwów, dnia 15 czerwca 1939 r.

ul. Chorążczyzny 14, I p.

Skończył czytać i jeszcze raz powąchał: sprzedają taką papeterię czy to ona ją pokropiła? Egzaltowana maturzystka!

Chociaż... ten rosyjski wtręt jest zastanawiający: „...nikawo, daże ciorta...”? Wyznanie? Deklaracja? Brunio, ja ciebie proszę, ty nie zaczynaj znowu! – skarcił siebie w duchu, żydłąc w stylu Lopka Krukowskiego, autoironicznie.

Odpisał lakonicznie, telegramem: „Dobrze – stop – jak już na miejscu – stop – proszę zaproponować termin”.

Odpowiedziała też telegramem: „Dzięki – stop – wzruszona”.

Szybko zapomniał o tej korespondencji. Zbliżał się koniec roku szkolnego, trzeba będzie postawić stopnie z rysunków, z wyrobów ręcznych, zebrania rady, wypisywanie świadectw, pochopnie zgodził się na wszystkie, nie tylko ze swoich klas – wina kaligrafii: „nikt tak nie potrafi, panie profesorze!”. Wreszcie dzień rozdania świadectw – jutro będę spał do dziesiątej, wyśpię się za wszystkie czasy!

Nie wyspał się; o szóstej rano Rusinka przyniosła zamówione kurczaki, jeden uciekł z kuchni, wleciał do sypialni i narobił strasznego hałasu. Bruno zbudził się z mocno bijącym sercem, z trudem uwalniając się ze snu, w którym malował koła na podłodze hali biletowej dworca kolejowego we Lwowie, co było warunkiem dostania biletu na pociąg do Paryża. Kręcił piruety na łyżwach, za każdym obrotem maczał wielki pędzel ławkowy w kubie z farbą w kolorze krwi i zakreślał nim obrazoburcze kręgi, a walc rozbrzmiewał pogłosem na wszystkich peronach, ale udało się! Udało się uciec celnikom! Leżał, oddychał ciężko i patrzył nieprzytomnie, jak Adela i Rusinka biegają po sypialni z rozczapierzonymi rękami, usiłując złapać kurczaka. Zapachniało potem i serwatką.

Drugiego lipca przyszedł znowu fiołkowy list, wysłała go wczoraj z Truskawca: „Jestem z Mamą w Truskawcu, Tatus

dojedzie za parę dni, proszę o spotkanie w dowolny dzień i o dowolnej godzinie”. Odpisał: „W poniedziałek, o piątą po południu, przy fontannie w parku zdrojowym”. Pomyślał, że zaprosi ją na ciastko do cukierni Lukasa.

Przyjechał trochę wcześniej i usiadł na ławce w pewnym oddaleniu, skąd miał dobry widok na fontannę i wszystkie ławki dookoła. Wyobrażał sobie, że jest brzydką dziewczyną w okularach, trochę otyłą, jak wszystkie miłośniczki literatury, które widywał na spotkaniach autorskich. Przypomniał sobie, jak kiedyś z Witkacym i Gombrem analizowali to zjawisko. Witkacy powiedział: „Ciąg jest taki – brzydka dziewczyna nie wychodzi na randki, siedzi w domu i czyta, psuje sobie wzrok, bo oszczędza na nafcie, więc musi nosić okulary, przejmując się tragediami bohaterów literackich, więc pociesza się, pożerając tony czekoladek Fruzińskiego, nie, one za drogie, Fuchsa albo Piaseckiego i tyje, tyje, składając ofiarę na ołtarzu literatury!”. „Ofiarę tłustego cielca!” – dodał Gombrowicz.

Coś w tym jest, pomyślał, i wtedy zobaczył smukłą postać wyprostowaną jak modelka na wybiegu, nie, raczej jak gwiazda filmowa podczas audycji dla oczekującego tłumu dziennikarzy, w prostej niebieskiej sukience, białym kapelusiku i sandałkach na bosych stopach. Szła uśmiechnięta, patrząc prosto na niego, aż się obejrzał, czy może adresatem tego uśmiechu jest ktoś za nim, ale nie – zbliżała się ku niemu, dziewczyna o oczach niebieskich jak bławatki.

Zerwał się zmieszany i zdjął kapelusz.

– To ja, Myszka. Marianna Jamrógiwiczówna – powiedziała, podając mu rękę.

Pocałował ją niezręcznie. Wyrwała mu ją delikatnie.



– Nie mogę się przyzwyczaić, ale całują tylko ci, którzy wiedzą, że zdałam maturę, a przecież moja ręka jest taka sama jak miesiąc temu...

– Może pójdziemy do cukierni, tu na przeciw?

– Ach nie! Tam będzie gwar, nie da się rozmawiać... Usiądźmy. Tam – wskazała ręką ruchem, który go zachwycał – jest wolna ławka.

Ruszyła prędko, bo zobaczyła, że jakieś stare małżeństwo też zmierza do tej ławki. Poszedł za nią, również przyspieszając kroku, i od razu pomyślał, że wygląda jak mysz, która ucieka. I może należałoby uciec?

Małżeństwo na szczęście poszło dalej, więc ona usiadła szczęśliwa. Usiadł koło niej i nagle wpadł w panikę: laska, gdzie jest moja laska? zgubiłem laskę! Spojrzał na ławkę, na której czekał – nie było jej tam. Może w autobusie? Zaraz! Przecież wyszedłem bez laski! – uspokoił się. Ta gonitwa trwała sekundę, ale ona ją zauważyła, jednak przemilczała taktownie.

Zaświtał mu w głowie zbawczy temat.

– Jak tam egzamin na polonistykę? – zapytał i skrzywił się wewnętrznie, gdyż zabrzmiało to jego zdaniem grubiańsko, ale ona się rozpromieniła.

– Zdałam! Jestem studentką!

– Gratuluję! Egzamin był trudny?

– Nie, ale nudny. Banalny. Pisemny o *Trenach* Kochanowskiego, ustny lepszy, o pisarzach młodopolskich. Można było sobie wybrać jednego i go omówić.

– I kogo pani wybrała? – zapytał, chociaż w ogóle nie interesowała go odpowiedź. Skupiony był na aureoli, którą promień słoneczny stworzył na jej jasnej głowie, i teraz też zauważył, że jej włosy mają kolor pszenicy. Słowianka z Podola, to pewnie od tych dziadków.

– Choromańskiego.

Nie zareagował, bo jechał teraz bryczką przez łąkę z rabinem z Podwołoczysk, gdzie ojciec go wysłał z jakimś poufnym listem, i zanurzał się w zieloność i jak łódka brodził...

– Czyż nie jest on epigonem młodopolszczyzny? – zapytała stropiona jego milczeniem.

Ocknął się.

– Ach, oczywiście! Śmiała i trafna teza. Podobała się egzaminatorowi?

– Najpierw zdumiała, a potem przekonała.

– Kto pytał?

– Pani docent Skwarczyńska z katedry profesora Kleinera.

– O!

– Ale przepraszam, nie warto o tym opowiadać, nie po to chciałam się spotkać.

– Tak? A po co? – wypalił i mało nie zemdłał, porażony obcesowością swego pytania, ale przyjęła je z radością.

– No właśnie, mam dziesiątki pytań i nie wiem, od czego zacząć.

– Najlepiej od początku – zdobył się na dowcip, wątpliwy, ocenił od razu.

– Cóż... Opowiem o tym, co mi się przydarzyło, kiedy czytałam *Sklepy cynamonowe*. W opowiadaniu *Nawiedzenie*...

– *Nawiedzenie*? – przerwał jej nieprzytomnie.

Trochę się przestraszyła, czyżby pomyliła coś?

– Tak, *Nawiedzenie*, myślę się?

– Nie, nie, *Nawiedzenie*, tak.

– Jest tam takie zdanie: „...ojciec zaczął z dnia na dzień maleć jak orzech, który zsyca się wewnątrz łupiny”. To było trzy lata temu, miałam piętnaście lat, umierała moja prababcia Różia, to znaczy Eleonora, a ja chodziłam do niej, aby jej

czytać, bo ona już nie mogła. Zaczynała ślepnąć, ale książki sama wybierała, w rodzinie nazywano ją zoilem, była bardzo surowa. Wydawało mi się, że specjalnie wybiera takie książki, które jej się nie podobały, żeby się nad nimi pastwić. Któregoś dnia dała mi otwartą książkę i pokazała palcem: „Od tego miejsca!”. Zaczęłam czytać i to było właśnie to zdanie o ojcu.

– I zaczęła się nad nim pastwić?

– Wprost przeciwnie! Powiedziała: „Pięknie pisze ten chłopak, będą z niego ludzie”.

– Nazwała mnie chłopakiem? Mam już...

– Ona wszystkich traktowała jak dzieci, swoje córki nazywała dziewczynkami, wołała: „Dziewczynki, słuchajcie!”, a to są już babcie, między innymi moja babcia, więc nie jest dziewczynką. Swoją drogą, świetnie gra w tenisa i kładzie wszystkich w rodzinie, nawet wujka Mieczka! A wujek Mieczysław zdobył mistrzostwo Polski bankowców – powiedziała z dumą.

Odzyskiwał spokój, skurczone z emocji gardło przełknęło nadmiar śliny, ale nadal wołał słuchać jej słów niż samemu coś powiedzieć. Na szczęście mówiła.

– I wtedy właśnie prababcia Rózia powiedziała: „Wiesz, wciąż dręczyła mnie myśl, że kiedy tak leżę, a już się chyba nie podniosę z tego łóża, to zaczynam się zamieniać w taką papkę, galaretę, rozplływam się, a on mi podsunął pomysł, że można się zsychać jak orzech, i to mi się spodobało i będę się teraz zsychać”. Mnie też się to spodobało, bo ja bardzo lubię orzechy i lubię też malować je na złoto lub na srebrno, kiedy przygotowujemy ozdoby choinkowe. Są dużo ładniejsze od kupowanych baniek szklanych. A czy pan lubi ubierać drzewko?

Speszył się i chciał coś odpowiedzieć, ale zobaczył, że alejką idzie pani Salzmanowa z synkiem, który zapiera się, wymachuje kijkiem od sersa i ryczy, więc wstał i uklonił się grzecznie kapeluszem. Pani Salzmanowa była żoną nauczyciela chemii, kolegi uczącego w tej samej szkole. Mówili na nią żona Lota, pijąc do soli w nazwisku, co ją oburzało: „Jakiego Lotha? Tego dentysty? Co za pomysł! Ja nie jestem jego żoną, ja nie jestem nawet jego pacjentką, to partacz!”. Poszła na skargę do rabina, a ten wyjaśnił jej, o co chodzi, i obrugał, że nie czyta Biblii. Zmierzyła wzrokiem dziewczynę od stóp do głów. No to teraz rozpuści plotkę w mieście – Schulz z młodą panną w Truskawcu! Na randce?!

Zrezygnowany usiadł.

– Ja bym lubił ubierać drzewko w domu, ale robimy to tylko w szkole, na zajęciach z uczniami. Ubieramy choinkę, chociaż ona zostaje sama na całe święta, zamknięta w zimnej auli, biedna sierotka, choinka pustych ścian.

Uśmiechnęła się do niego smutno i już nie mógł się zdecydować, kiedy jest piękniejsza: uśmiechnięta czy zasmucona.

– Ale ja nie to chciałam powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że przeczytałam prababci całą książkę i ona słuchała jak zaczarowana i nie robiła żadnych złośliwych uwag, czasem tylko cicho płakała. I jak skończyłyśmy, to mi ją pożyczła i przeczytałam drugi raz, tylko dla siebie, normalnie, to znaczy po cichu. Czy zgodzi się pan, że to jest inne czytanie, jakieś głębsze, uważniejsze? Słowa, zdania wnikają jakby prosto w duszę, w krew, z którą płyną do serca. Czy pan też tak to odczuwa?

Łzy nabiegły mu do oczu, tak wzruszyła go jej szczerą, młodzieńcza naiwność. Chrząknął dwukrotnie, żeby zapobiec żenującej sytuacji i się nie rozpłakać, zaczął coś dukać:

– Cóż... to sprawy indywidualne... różnie bywa... jesteśmy wtedy na ogół sami, zatem intymnie...

– Tak, ale chodzi mi o zrozumienie tekstu, ono wtedy jest uważniejsze. Gdy się czyta na głos, dla kogoś, myśli się też o samym wykonaniu, by było czytelne, odpowiednio głośne i interpretujące stosownie, nawet czasem imitujące głosy postaci...

Patrzył, jak różowieją jej policzki, jak płoną oczy, jak pragnie przekonać go do swych przemyśleń, jak jej zależy, aby wydać się inteligentną, rozumiejącą, wrażliwą. Patrzył na jej piękne dłonie, długie wysmukłe palce, na gestykulację żywą, ale powściągliwą, dystygowaną. Porównywał je, grzebiąc w pamięci, z dłońmi Zofii, pomarszczonymi, zażółconymi od tytoniu, zmęczonymi, przedwcześnie postarzałymi.

A te jej stopy w lekkich sandałkach, krótko przycięte paznokcie, drobne jak perełki, żadnego lakieru, żadnej wyzywającej wulgarności. Stopy kobiece, jego fetysz, on zawsze czółgający się z pokorą, z uwielbieniem ich władczej mocy, prawie na każdym rysunku. Czy pokonując teraz strach, rzuciłby się desperacko do stóp tej wiośnianej zjawy, która mówiła ludzkim językiem, ale nie była z tej ziemi, więc chyba by wybaczyła, zrozumiała?

Umierając ze wstydu, rozbierał ją powoli na tej ławce, a ona nie stawiała żadnego oporu, pomagała mu, podniosła rękę, jakby się poddawała, aby pójść do niewoli, bo chciała ułatwić mu zdjęcie sukienki. Zostawił ją na chwilę w bieliźnie, która była dziewczęcą, prosta, surowa, nie frywolna.

Patrzył na jej wzruszające krągłe kolana, na cudownie smukłe nogi i chciało mu się płakać. Znowu pamięć podsunęła mu obraz kolan Józefiny, mocnych, niezłomnych, ścis-kających jego głowę aż do bólu skroni, zanim się rozwarły

i przyzwoliły. Poczul ten ból teraz, przypomniał się pulso-  
waniem, tak głośnym, aż przeląkł się, że słycać go w całym  
parku jak potworne walenie w beethovenowskie kotły.

Natychmiast ubrał ją z powrotem, nieświadomą tego, co  
wyczytał. Skarcił się surowo w duchu za te wybryki wy-  
obraźni i spokorniał, skurczył się, zmałał do rozmiarów  
szmacianego pajaca z rodziny czarno-białych arlekinów  
z kryzą z gazy i czerwonymi rumieńcami, którzy omdlewali  
na modnych poduszkach w tysiącach galicyjskich sypial-  
ni. Siedział na krawędzi ławki z przylepionym uśmiechem  
i bimbał głupekowato cienkimi nogami pełnymi trocin.

– Mam tysiące pytań, prosiłabym o spotkanie z książką,  
przygotowałabym kwestie ograniczone tylko do tych naj-  
istotniejszych, wybranych, aby nie zabierać panu cennego  
czasu. Rok akademicki zaczyna się pierwszego października,  
więc może mogłabym przyjechać we wrześniu, a może pan  
się wybiera do Lwowa?

– Tak, obiecałem odczyt siedemnastego września w Osso-  
lineum, ale może jednak tu lub u mnie w Drohobyczu,  
w pierwszej połowie miesiąca, kiedy jest jeszcze lato...? –  
Mówił to, czując, jak serce jego zaczyna bić coraz pręde-  
j. Przestraszył się, że zasłabnie, że upadnie tu, na tę ścieżkę  
zwirową, ostre kamyki wbiły mu się już w policzki, w powie-  
ki, więc szybko wstał, zbyt szybko, zbyt gwałtownie, i ona  
wstała, niezdziwiona, pewnie przygotowana na dziwactwa  
tego dziwnego pisarza.

– Przepraszam, muszę już iść, zapomniałem, że...

– Ja też. Mama się pewnie niepokoi...

Nie patrzył na nią, wpatrywał się w obraz, który wy-  
świetlał się w jego mózgu jak scena z filmu Murnaua: jego  
mroczny pokój, daleki poblask ulicznej latarni, niedomknięta

okiennica łomocze na wietrze, dobija się natarczywie, i ona, szara zjawa w kącie, nieruchoma, upiorna, blednie, znika, wsiąka w mur...

Wracał do Drohobycza rozgrzany do czerwoności autobusem, ludzie łapali powietrze jak karpie w baliu sklepu Stenzlowej, wóz włókł się, skrzypiąc i trzeszcząc, odcięty od świata tumanem kurzu, który wzniecał sobie na złość. Bruno siedział na brzeżku fotela, skupiony tylko na jednym – aby donieść cało jej obraz do domu, myślał, że gdyby się przechrzczył i został księdzem, to tak ostrożnie, z taką czułością trzymałby w palcach hostię i składał ją delikatnie na ufnym języku dziecka przyjmującego pierwszą komunię... A wtedy... O, szatanie przebiegły! Język – tylko na to czekałeś! Wystarczyło pomyśleć to słowo przeklęte, dwuznaczne, wieloznaczne, a już wpakowałeś się z chichotem triumfu i dokołałeś przemiany, fałszerstwa, bluźnierstwa, oszukałeś kubki smakowe, by nie wyczuły matowego smaku nieskazitelnej czystości, tylko występny przedsmak grzesznych rozkoszy! Zerwał się ze swego miejsca oburzony, dotknięty do żywego. Na szczęście razem z nim zerwali się wszyscy pasażerowie, bo autobus dotarł do celu, więc ten gwałtowny ruch nie zdziwił nikogo.

Niósł teraz swój sekret, idąc chyłkiem, ocierając się prawie o ściany domów na rynku, zgarbiony, skurczony jak spiskowiec, unosząc swoją zdobycz, swoją bibułę do bezpiecznego lokalu tajnych schadzek, do domu, w którym mógł poufnie rozmawiać z samym sobą. Gwałtowny podmuch wiatru o mało nie porwał mu kapelusza. Bruno złapał go w ostatniej chwili, stłumił w zarodku jego buntowniczą myśl o ucieczce, z goryczą myśląc o niewierności tego osobnika, rzekomo wiernego druha. Mijający go przechodzień zdziwiony odkło-

nił się niepewnie, ale uprzejmie, jednak po chwili zatrzymał się i zawołał oburzony: „Hola, mój panie! Czy pan mnie zna? Czy pan wie, kto ja jestem?! Ja, mój panie, kategorycznie nie życzę sobie, aby kłaniali mi się obcy ludzie, to mnie obraża! To opluwa mój nieskazitelny wizerunek wyniesiony na sztandary przez lud nasz dzielny! Bogobojny! Święty! Bogurodzico, Dziewico! Pani nasza, Królowo nasza, Poczyszcielko nasza, módl się za nami i precz z Żydami!”.

Bruno obejrzał się przerażony, na ulicy nie było nikogo.

– Mam omamy, zaczynam mieć omamy! – wyszeptał do siebie, wcisnął mocniej kapelusz na głowę i kilkoma susami dopadł domu. Zatrzymał się w sieni, mrocznej, pachnącej bezpiecznie winem i chlebem. Oparł się o ścianę i czekał na uspokojenie rozkołatanego serca. Wszyscy bliscy znajomi – skrzypiące schody, liszajowate ściany, wybrzuszona kostka wjazdu, stara studnia na podwórku – wzięli się za ręce, otoczyli go kołem i ruszyli przyjaznym krokiem, śpiewając: „Koło młyńskie za cztery ryńskie, koło nam się połamało, całe zboże wysypało i my wszyscy bęc! Wszyscy bęc, bęc, bęc, bęc, bęc!”.

Poczuł się lepiej, wszedł na schody, dotarł do swej sypialni, rzucił się na łóżko i zasnął jak kamień.

Śnił, że jest starym jednookim żółwiem, który pełźnie brzegiem morza po śladach pięknych stóp. Co siódma fala zalewa te ślady, a wtedy stary żółw z wysiłkiem unosi głowę, czując ból w zeszywniałym karku, i sprawdza, czy ona jeszcze biegnie, czy jeszcze zostawia ślady na piasku, które odtąd będą go prowadzić aż do zatracenia, aż do oślepienia, aż do końca jego dni. Nagle fale wyrzucają na brzeg topielca i żółw zatrzymuje się zaskoczony. Topielec przewraca się na bok, jego sina twarz przesłania żółwiowi cały świat. Topielec otwiera oczy, krztusząc się, wypłuka wodę, wodorosty i algi,



uśmiecha się i mówi: „Ty stary chytrusie, ty masz żydowską kiepele, ty wiesz, że żółwie żyją długo, więc w końcu ją dopadniesz i ziści się twoje marzenie – dotkniesz koniuszkiem swego starczego zdrewniałego języczka jej boskiej stopy!”.

Bruno zbudził się z jękiem, w ustach miał smak słonej wody, czuł zapach mokrych alg, słyszał szum, jakby przytknięto mu do uszu dwie wielkie muszle, i z przerażeniem stwierdził, że nie pamięta już jej twarzy, jej oczu, jej głosu. Leżał, wysilając pamięć, i w końcu udało mu się odtworzyć obraz dłoni, ruch gestykulujących rąk, małe kwiatki na sukience, wreszcie całą sylwetkę, ale daleką, taką już odchodzącą w głąb parkowej ścieżki.

Zwlekł się z łóżka, zmęczony, jakby wykarczował w furii wszystkie drzewa w parku zdrojowym, usiadł przy stole, sięgnął po ołówek i papier. Im i swojej ręce powierza teraz zadanie: niech rysują, niech odnajdą jej twarz. Powstaje szkic za szkicem, jak fotografia. Park i ławka, nawet pani Salzmanowa z synkiem w głębi ścieżki, oboje jak żywi, tylko jej postać stawia wciąż zacięty opór, papier odtrąca ołówek z tęnym uporem. Ołówek nie daje za wygraną, ona powoli zaczyna ulegać, przyzwala na rysunek sylwetki i ruchu ciała zwróconego ku rozmówcy, godzi się na stopy i dłonie, tak jakby podawała je do ucałowania, nawet na zarys głowy, na kosmyk włosów nad czołem, tylko twarz jest wciąż białą plamą.

Bruno porzucił rysunek dziewczyny bez twarzy, zaczął go przerabiać: wymazał smukłe nogi i zastąpił je grubą śrubą na trójnogu. Dorysował worek w kształcie głowy wypchany trocinami i teraz cudny manekin siedzi na ławce w Truskawcu i z ożywieniem rozmawia z jakimś starym durniem w kapełuszu! Wściekle zmiął i podarł wszystkie rysunki.

Weszła Adela ze śniadaniem.

– Nie wyspał się pan – zamruczała niezadowolona.

Wzruszył ramionami.

– Nie chcę się wysypiać.

– Oj, niech pan tak nie mówi. Sen daje siłę, a pan potrzebuje siły!

Zaczął pić kawę, parząc sobie wargi, żeby nie musieć odpowiadać. Wysła. Odstawił kubek, odsunął tacę z jedzeniem i zanurkował pod stół. Wysypał z kosza wszystkie zmięte papiery, rozprostowywał gorączkowo arkusz za arkuszem i wreszcie znalazł to, czego szukał: kolejny jej portret bez twarzy. Wygladził go nerwowymi ruchami na stole i dopadł kredką. Prawie na oślep pociągnął kilkoma kreskami po pustej plamie twarzy, oderwał rękę na sekundę i spadł z powrotem na papier z dziką furią jak myszołów na uciekającą nornicę. Błyskawicznymi cięciami fechmistrza ranił pustkę arkusza, aż zaczęła się wyłaniać z niego twarz jak żywej Marianny Jamrógiewiczówny, zamieszkałej we Lwowie przy ulicy Chorążczyzny 14, pierwsze piętro!

– Tak, łotry! Pierwsze piętro! – krzyknął głosem nieubłaganego zwycięzcy.

Adela uchyliła ostrożnie drzwi.

– Pan mnie wołał? – zapytała z lękiem w oczach.

– Nie, nie... Albo tak! Zabierz tacę, nie mam apetytu.

– Pan powinien...

Ruchem ręki zmasał dalszy ciąg zdania. Wysła, pokornie szurając wydeptanymi trzewikami.

Pobiegł na pocztę, kategorycznie zażądał książki telefonicznej Lwowa. Niecierpliwie przewertował kartki, znalazł „J”, zjeźdżał paznokciem w dół strony, Jab... Jac... Jad... Jam! Jest: Jamrógiewicz Kazimierz, dr. laryngolog, Chorążczyzny 14,

dom: 11 355, gabinet 11 811. Wykręcił ten drugi numer i poniewczasie wpadł w panikę – co powie?! O co zapyta?! Chciał odłożyć słuchawkę, ale odezwał się kobiecy głos.

– Gabinet doktora Jamrógiewicza, słucham.

– Ja w sprawie wizyty – wykrztusił przez ściśnięte gardło, co akurat było na miejscu.

– Pan doktor nie przyjmuje. Ma w lipcu urlop, właśnie wyjechał do Truskawca. Wróci w sierpniu.

Palnął się w czoło.

– Kretyn! Przecież mówiła!

– Słucham? – Głos się zaniepokoił.

– Przepraszam, to nie do pani...

– Jeśli chodzi o jakiś prosty zabieg, pędzlowanie, inhalację, przepisanie starej recepty, mogę pana przyjąć...

– A nie, nie. Chodzi o diagnozę, poczekam do sierpnia, przepraszam. – Odłożył słuchawkę. – Chodzi o diagnozę. Tak, chodzi o diagnozę! – wyszeptał do siebie.

Powlókł się z powrotem do domu, cały czas robiąc sobie w myślach wyrzuty. Poczekam do sierpnia i co? Pojadę do Czortkowa na pędzlowanie i inhalację... Co ja mówię! Czy ja zwariowałem? Co się ze mną dzieje? No tak, głupcze, doigrałeś się! – Idąc, kiwał głową z politowaniem, co od razu go zirytowało. – Dlaczego ja kiwam głową jak mój ojciec?! Dlaczego ja imituję ojca?! Przedrzeźniam go? Małpuję? Czy ja z niego szydzę? Wyrodny syn! Parodysta swego ojca! Będę występował, będę śpiewał kuplety, szmoncesy, będę Lopek Bruno Krukowski!

Uderzył go zaduch i gorąc domu. Pootwieriał na przestrzał okna, powodując przeciąg. Siedział osowiały, milczący, wpatrzony nieruchomo w zimny piec. Przyglądał się kartuszowi na nim i po raz któryś próbował dociec, czy nagi amorek

podaje kobiecie bukiet kwiatów czy kosz owoców? Przynął na chwilę, obudziły go dreszcze i drapanie w gardle. To przez telefon do laryngologa. Uderz w stół, nożyce się odezwą! Owinął szyję kompresem skropionym spirytusem.

Weszła Adela.

– Boli pana gardło? Ukręcę panu kogel-mogel...

Przez parę dni nie wychodził z domu, zmieniał kompresy, zjadł kilka porcji kogła-mogła (ostatnią rozcieńczył potajemnie wódką), płukał gardło wodą z solą, nie był pewny, czy go boli, czy tylko drapie, pokładał się, polegiwał, przesiadywał w fotelu pozbawiony energii i woli.

Pewnego ranka zbudziła go nowa myśl. Szybko wstał, pospiesznie zjadł śniadanie i pognął do miasta. Wszedł do sklepu z kapeluszami Borsalino Rosenbauma i zaczął przy mierzać białe słomkowe panamy, a subiekt nadskakiwał mu skwapliwie, podsuwał drugie lustro, aby mógł zobaczyć się z boku i z tyłu. Ilekroć napotykał w odbiciu swoje spojrzenie, zawsze jakby spode łba, pochmurniał, ogarniało go zniechęcenie, był bliski ucieczki ze sklepu, kiedy subiekt pobiegł na zaplecze po następny stos pudeł. W końcu zdał się na poradę szefa, który wyskoczył nagle w lansadach z kantorka – kupił białego Hückla oraz za jego namową jasne łosiowe rękawiczki. Nie był pewny, czy to dobry wybór, ale wstydził się odmówić. Wstydził się też, że niesie duże białe pudło, przecinając rynek zalany słońcem. Wieko pudła było oklejone cynfolią, która odbijała światło, i w pewnej chwili odbity od niej promień słońca oślepił jakiegoś przechodnia, tak że ten potknął się i mało nie upadł.

– *Dumme Kerl!* – syknął mężczyzna i spojrzął ostro na Bruna, a ten wymamrotał przeprosiny, kłaniając się niezręcznie.

Po drodze do domu wstąpił jeszcze do optyka Wolfa i kupił duże czarne okulary przeciwsłoneczne. W sieni zatrzymał się, otarł chustką spoconą twarz, otworzył pudło, włożył panamę na głowę i okulary na nos. Nie otworzył sobie drzwi kluczem, zadzwonił. Usłyszał szuranie trzewików Adeli po posadzce przedpokoju, a gdy ta otworzyła drzwi, spojrzała z roztargnieniem na przybysza i powiedziała:

– Pana profesora Schulza nie ma w domu, wyszedł na miasto. Nie wiem, kiedy wróci.

– Właśnie wracam – odpowiedział zadowolony i wręczył jej pudło.

Nazajutrz po południu wybrał się do Truskawca w nowym, triumfalnym kapeluszu i okularach. Przeszedł kilka razy deptakiem, zatrzymał się przy pijalni Naftusi, posiedział to na jednej, to na drugiej ławce w parku zdrojowym – na próżno! Nie zobaczył nawet jej cienia. Przeszło obok niego kilku znajomych, żaden go nie rozpoznał.

Dobra nasza! – krzyknął w duchu i od razu to wyśmiał: Trzeba było jeszcze podskoczyć, trzasnąć obcasami i krzyknąć: Hu, ha!

Przyjeżdżał do Truskawca jeszcze kilka razy, daremnie – nigdy jej nie spotkał. Może wyjechali przedwcześnie? Może coś się stało? Mógł zachorować dziadek w Czortkowie albo babcia. Może ktoś umarł? Zaczął snuć całą historię dramatycznych wypadków w podolskim dworze, która pęczniała od zwrotów akcji, napięć i niespodzianek. Pojawiały się nowe postaci, niektóre umierały w zarodku, niektórym bezdusznie odbierał życie w sile wieku, skreślając je bezlitośnie lub zmieniając imiona, a nawet płeć! Dziadek i babcia, nigdy przecież niewidziani, wyglądali już całkiem realnie, babci użyczył trochę urody wnuczki, dziadka uporczywie wyobrażał sobie

podobnego do naczelnika poczty w Drohobyczu i o mały włos nie polecał zrobić mu awantury – tak go to zirytowało.

– Jak tak dalej pójdzie, napiszę libretto opery *Straszny dwór pod Czortkowem!* – szydził z siebie. W głowie zamajaczył mu wyblakły obraz: piąta klasa, pytany z historii przy tablicy zawieszanej mapami plecie: „Straszny dwór pod Czortkowem, a Batory pod Pskowem, gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina pała...”. „Schulz! Siadaj, matole! No i znowu pała!” „Niezły kuplecik napisałem! Skończę jako prowincjonalny kuplecista: Kochany panie Bodek, gdzie tutaj jest wychodek...?”

Poddał się, osowiał, zamknął się w sobie, obraził się na nią. Odpędzał każdą myśl o niej, która zapominała się i przychodziła nieproszona. Postanowił być surowy i nieprzejednany, kiedy skomlała i skrobała cichutko w drzwi, warczał:

– Odejdź, bo zastrzelę! – I od razu bił po łapach tego drugiego, który w nim siedział, tego prześmiewcę: – I ciebie też, durniu! Nie wtrącaj się!

Przetrwiał w zaciętym uporze do końca lipca. Na początku sierpnia przyszła pocztówka: „Moc pozdrowień z Czortkowa zasyła Myszka!”, nabazgrane dziecinnym pismem. A więc tamten list kaligrafował ktoś inny! Pokiwał głową, tak, to jeszcze dziecko...

– Tatuś się znalazł! – zaśmiał się od razu ten drugi w nim.

Postanowił go ignorować, niech sobie głądzi, żaloszny bankrut! Odwrócił widokówkę – fotografia w kolorze sepii przedstawiała jakiś paskudny budynek z wieżami. „Nowy ratusz w Czortkowie” – podpisano. Poszukał jeszcze raz: adresu zwrotnego nie było.

Posmutniał.

– Może to i lepiej... – pocieszył go ten drugi w nim.

Tym razem go nie odpędził, może ma rację? Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, o co mu właściwie chodzi. Zachwycała go jej uroda, w porządku, i co? Chciałby ją malować? – dobrze; zaintrygowała go intelektualnie? – powiedzmy; chciałby z nią mieć romans? – skandal! Wybuchłby straszny skandal, i to nie tylko tu, w szkole, w całym Wielkim Drohobyczu, ale co by powiedziała Debora? Nawet ona, oddana przyjaciółka, byłaby zgorazona, nie mówiąc o Junie, chociaż Juna by się nie odezwała... Witkac? On by pochwalił, jeszcze by podjudzał, a Gombr? Krzywiłby się z urzędu. Może... ale on by najlepiej zrozumiał, że nie umiem żyć bez jakiegoś uroku, bez jakiejś łakomej przyprawy do mej codziennej wodnistej egzystencji.

Mimo stu postanowień, że weźmie się za siebie, z dnia na dzień pograżał się w coraz ciemniejszym smutku. Godzinami leżał na sofie i wpatrywał się w sufit jak w ekran. Był pusty, ale on widział tam obrazy, wciąż napływające, przenikające się, pograżające w mroku, a potem rozświetlające się od nowa, choć już w innej formie, zaprzeczając poprzednim.

Wreszcie zebrał się i napisał dwa listy do Lwowa: pierwszy do Ossolineum, potwierdzający termin odczytu o E.M. Lilienie i Leopoldzie Gottliebie na dzień 17 września 1939 roku i drugi do Debory Vogel. Pisał: „Dochodzę do przekonania, że najważniejszą przyczyną mojej depresji jest beczyność, nieproduktywność. Przyczyną zaś mojej beczynności jest przesąd, że mogę tylko wtedy pracować, kiedy wszystko jest w porządku i kiedy jestem zadowolony, i mam trochę pogody w duszy...”. A ta jego pogoda wciąż była szara, listopadowa, choć wokoło pysznił się słoneczny soczysty sierpień.

Wreszcie ten męczący miesiąc dobiegł końca. Trzydziestego pierwszego sierpnia wieczorem Bruno zgasił światło

i otworzył szeroko okno swego pokoju. Stał w nim i z rozkoszą wdychał chłodne powietrze, ulgę po upalnym dniu. Z każdym oddechem wstępowała weń dawka energii, optymizmu i nadziei. Czuł, że kończy się czas depresji, niemocy, zwątpienia. Jutro wszystko stanie się proste, łatwe i radosne, wszystko się dobrze ułoży. Spojrzał na zegarek, dochodziła jedenasta, postanowił położyć się spać, aby wstać wcześniej i zabrać się do pracy. Najpierw zagruntuje płótno, a kiedy będzie schło, zapisze krótką historyjkę, która już od kilku dni się tego domagała. Zostawił otwarte okno, nie zapalał światła, aby nie zwabić komarów, szybko rozebrał się i ułożył w chłodnej pościeli. Ćma dotknęła jego czoła w cichym przełocie miękkim skrzydełkiem, jak matka, która całuje syna na dobranoc. Zamknął oczy i spokojnie zasnął.

1 września 1939 roku o godzinie 4.40 rano Niemcy przekroczyli granicę Polski, rozpoczęła się druga wojna światowa. 17 września, w dzień planowanego odczytu Brunona Schulza w Ossolineum, do Polski wkroczyła Armia Czerwona. 19 listopada 1942 roku gestapowiec Karl Günter zastrzelił na ulicy w Drohobyczu Brunona Schulza, aby zrobić na złość gestapowcowi Feliksowi Landauowi, dla którego Schulz malował freski w pokoju jego dzieci.



## Tom czternastu wysmakowanych opowiadań.

Część pierwsza oddaje hołd Brunonowi Schulzowi. To trzy historie związane z wielkim pisarzem, ale fikcyjne: jedna mówi o spotkaniu z maturzystką, które przerywa wybuch wojny, druga to obraz alegoryczny o Holokauście, a trzecia – gatunkowo nawiązując do szpiegowskich filmów akcji – jest relacją o poszukiwaniu podziemnego schronu, który był autentycznym projektem Schulza, ale nigdy niezrealizowanym. Ta część jest w tonacji moll.

Druga to opowiadania rozmaite. Wszystkie przesycą humor: czasem naprawdę czarny, czasem wręcz cyniczny, innym razem liryczny. Łączy je ironia i dystans autora do historii. I jeszcze jedno: seks. Opisywany obrazowo i zmysłowo, bywa, że drastycznie, ale nigdy wulgarnie. Ta część jest w tonacji dur.

Janusz Majewski po raz kolejny zgłębia to, co w człowieku najciekawsze: różnorodność losów i niepowtarzalność jednostki. To próba zbadania tajemnic ludzkiej duszy, opisana językiem bogatym i precyzyjnym.

ZBIOREM *MALEŃKA* JANUSZ MAJEWSKI  
WCHODZI W DZIEWIĘCDZIESIĄTY  
ROK ŻYCIA.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 44,90 zł

w sprzedaży także



**KUP TERAZ!**